

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (23)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobiecki

Odkryto go jako niepełnoletniego młodzieńca w sosnowieckim mateczniku, rozwijał się w Katowicach i łapał literacki tlen podczas słynnych ogólnopolskich spotkań młodych w Nieborowie (1951) i Oborach (1954). Był tam obecny obok innych młodych i zdolnych: Tadeusza Borowskiego, Ernesta Brylla, Jerzego Harasymowicza, Marka Hłaski, pod skrzydłami takich osobowości polskiej literatury, jak Nałkowska, Kruczkowski, Jastrun. Gdy w 1954 roku przyjechał do Zielonej Góry – mając dopiero 20 lat i niemal 15 wierszy wydrukowanych w prasie krajowej – stał się z miejsca najważniejszym literatem Winnego Grodu.

Cóż zatem się stało, że ta początkowa wewa literacka z upływem lat opadła, choć przecież wiersze, opowiadania regularnie drukował do samej śmierci i zawsze pozostawał poetą? Czy prowincjonalna Zielona Góra naciskała przez całe jego dorosłe życie na hamulec rozwoju twórczości? Dlaczego zatem stąd nie wyjechał? A może poezję tłumiała nadmierna aktywność społeczna? Lub coś nie tak bardzo zewnętrznego, niekoniecznie zauważalnego, za to zapisanego w psychice? Próbuję się mierzyć z tymi pytaniami i odpowiedzieć na nie. Nieuchronnie jednak rodzi się dość bolesna konstatacja, że – być może – straciliśmy wybitnego poetę, klasyka literatury polskiej.

W 2014 roku oddział ZLP zorganizował Januszowi Koniuszowi 80-lecie urodzin (notabene z humorem podkreślał później, gdy gościła u nas Joanna Rawik, że jest dzień młodszyci od artystki). Spotkaliśmy się w sali zegarowej Muzeum Ziemi Lubuskiej. I było widać wówczas, że pisarz jest nieswój. Po prostu nie pasowała mu ta osiemdziesiątka, przysłała za szybko i jawiła się dość pesymistycznie. Czesław Sobkowiak próbował wtedy, w luźnej pogawędce przy zastawionym stole, postawić jubilatowi pytania, które i mnie męczą – artykułowane wyżej. Odpowiedzi, być może,

powiedziałyby nam więcej o pisarzu, niż wiemy dotąd. Ale oczekiwanej reakcji Czesław się nie doczekał. Natomiast mnie się zdarzyło – dużo wcześniej, w rozmowie w cztery oczy – usłyszeć dowcipną wypowiedź autora „Próby samoobrony” (znamienny tytuł!) na podobnie przedstawione problemy dotyczące jego utknięcia na prowincji i życiowego wyhamowania. Otóż na moje prowokacje Koniusz odrzekł, że on nie należy do buntowników, prowadzi ułożone życie, nie ma w sobie krztyny z Wojaczka, Bursy lub innych „wyklętych”. Żeby to potwierdzić konkretem, rzekł: – Panie Eugeniuszu, ja mam wciąż tę samą żonę... Co zresztą potem zapisał w wierszu „Puenta”.

Ostatnie publiczne wystąpienie pana Janusza jako honorowego prezesa oddziału zdarzyło się 25 listopada 2016 roku też w muzeum. Wystąpił w roli przewodniczącego kapituły Nagrody im. Andrzeja K. Waśkiewicza przyznawanej corocznie przez oddział ZLP; odczytał i uzasadnił werdykt. I szybko poszedł do domu, bo jak powiedział, o 20.00 musiał wziąć leki. Spotkaliśmy się jeszcze w gronie zarządu oddziału ZLP u mnie, w domku ogrodnika, na opłatkowym spotkaniu przedświątecznym 17 grudnia 2016 roku Koniusz oczywiście rzucił jakiś pomysł czy dwa. A potem – to już watek bardzo osobisty – napisał w piśmie „Pro Libris” recenzję pierwszego zbioru wierszy mojej córki. Poniekąd namaszczając ją na poetkę.

Zadzwoiłem do pisarza – jak się okazało – tydzień przed śmiercią. Rozmawialiśmy dość długo, oczywiście o poezji, o kolejnych sprawach do zrealizowania. Zapytałem o jego wiersze. – Szykuję swój ostatni zbiorek – powiedział. – Trochę starych wierszy, jak też nowe. Chciałbym, żeby się ukazały. Obiecałem mu, że zbiór wyjdzie. Ukazał się pod tytułem „Wiersze ostatnie”...

Dużo wcześniej, na któryś jubileusz, robiłem z panem Januszem wywiad do „Gazety Lubuskiej”. Siedzieliśmy na stryszku przy Niepodległości 35. – Wie pan, moim marzeniem byłoby, żeby choć dwa moje wiersze zostały w literaturze polskiej, no, choćby jeden – stwierdził. Wtedy wydał mi się minimalistą. Jakże to!? – oburzyłem się niemal. – Choćby jeden – powtórzył Koniusz.

Mam świadomość, że mieszkał wśród nas ważny i obiecujący twórca. Przez całe życie – człowiek słowa. Miał ogromne możliwości, z których chyba z rozmysłem nie skorzystał. Może je wręcz tonował. Szkoda, bo wydaje się, iż coś ważnego uciekło nie tylko jemu, ale i polskiej poezji. Szanse, marzenia, c o ś, czego nie udało się w pełni zrealizować. Widać jednak tak być musiało...

Janusz Koniusz, ur. 1 lutego 1934 w Sosnowcu-Niwce – zm. 29 marca 2017 w Zielonej Górze. Poeta, prozaik, dramaturg, publicysta, działacz społeczny. Filologię polską zaczął studiować na WSP w Katowicach, ukończył na UAM w Poznaniu. Był sekretarzem LTK i redaktorem naczelnym „Nadodrza”. W 1961 został członkiem ZLP, w tym samym roku współuczestniczył w powołaniu oddziału ZLP w Zielonej Górze.

Czesław Sobkowiak

Mgliście jawią mi się początki znajomości z Czesławem. Być może mineliśmy się kiedyś w redakcji „Nadodrza”, odwiedzając Andrzeja K. Waśkiewicza? To jest prawdopodobne, bo właśnie w „Nadodrzu”, w pokoju redakcyjnym Andrzeja, spotkałem pierwszy raz Mięczysława J. Warszawskiego, najlepszego przyjaciela Czesia i poetę-rówieśnika. Choć nie jestem stuprocentowo pewny. Natomiast wyraźniej już zapamiętałem Czesława ze spotkania młodych literatów – poza Zieloną Górą – organizowanego przez Jurka Leszina. Zapewne odbywało się w ośrodku wypoczynkowym pod Warszawą, może nad Zalemem Zegrzyńskim...? Był tam Sobkowiak, znany mi już z widzenia, gdyż wiedziałem, kto zacz, ale na tym kończy się (w mojej głowie) cały ten epizod. Zamieniliśmy parę słów przed wyjazdem z Warszawy do owego ośrodka. Mogłem przypuszczać, że uznaje się – skoro jest obecny – za jednego z uczestników pokolenia Nowej Prywatności, do którego i mnie zaliczano, a tej formacji literackiej poświęcony był ów miting młodych twórców. Na potwierdzenie powyższych przypuszczeń znalazłem w swoim albumie zdjęcie z podpisem mówiącym, iż spotkanie odbyło się Białobrzegach w dniach 6-8 grudnia 1985 r. i toczyło się pod hasłem „O sztukę czasu, w którym żyjemy”. Na zbiorowej fotografii, w tłumie poetów, na pierwszym planie przykucają Czesław Sobkowiak. Widzę też Leszina, Waśkiewicza, jest obecny Zbigniew Jerzyna i Zbigniew Joachimiak, i wielu innych.

W czasach studenckich, zwykle po otrzymaniu stypendium akademickiego, niekiedy po wypłacie skromnej wierszówki zarobionej publikacją w „Nadodrzu” lub „Gazecie Lubuskiej”, wędrowałem do jedynej antykwariatu w Zielonej Górze, na rogu ulic Świerczewskiego i Wojska Polskiego. Często też przechodziłem do księgarni przy ul. Żeromskiego. Szukałem tomików poezji, nowych, ale też uznanych autorów, a niełatwo było je upolować. Szczególnie wypatrywałem zbiorów Rafała Wojaczka, niedawno zmarłej legendy ówczesnych lat. W gronie kilku osób z uczelni założyliśmy Studencki Klub Poetycki 54 i chcieliśmy być z poezją na bieżąco. Jeden z kolegów podpowiadał np. lekturę krakowskich poetów Kornhausera i Zagajewskiego z grupy „Teraz”. W modzie też byli (zresztą zawsze) tzw. poeci przekłęci, zatem Bursa czy Wojaczek byli dobrze przez nas notowani. Poszukiwałem zatem uparcie Wojaczka i po jakimś czasie byłem już znany, szczególnie w antykwariacie, z namolnych pytań o jego książki. Czas płynął. Aż tu pewnego dnia sympatyczna pani za ladą mówi: – Coś dla pana mam. I wyciąga „Nie skończoną krucjatę”. Zatkąło mnie. Zakupu dokonałem 17 września 1977 r. (wiem, bo miałem zwyczaj wpisywać na stronie tytułowej datę nabycia dzieła). Książka wciąż stoi w mojej bibliotece. Pani nie chciała początkowo powiedzieć, kto się pozbył wrocławskiego poety, zresztą zbytnio się nie dopytywałem.

cdn.